

Z życia glist —
cóż by to miało
znaczyć?

Z życia glist nazywa się najnowsza sztuka szwedzkiego pisarza Olova Enquista, której premierę dano niedawno w Teatrze Powszechnym (po Poznaniu i Krakowie).

Napisana w roku 1981 już weszła w europejski repertuar, doczekała się nawet inscenizacji Ingmara Bergmana (w Monachium).

Per Olov Enquist (rocznik 1934) jest w Polsce już dobrze znany. Jego sztuka o Strindbergu *Noc trybada* w roku 1977 (w dwa lata po światowej, sztokholmskiej prapremierze) została przez tenże Teatr Powszechny wystawiona w reżyserii realizatora prapremierowego Ernsta Günthera. Wywołała — u nas i wszędzie — żywe reakcje. Zachwycono się, ale i oburzano na Enquista, że zniesławia swego bohatera, że wyciąga na wierzch brudy, że jednostronnie rysuje obraz epoki. Co nie przeszkadza, że *Noc trybada* przetłumaczono już na 20 języków, że doczekała się 60 premier a w styczniu 1985 na europejskie ekrany wejście jej wersja telewizyjna — sześcioczęściowy serial.

Z życia glist też jest sztuką biograficzną (o ile w ogóle warto szuladkować w ten sposób utwory).

O Andersenie mianowicie. Genialnym baśniopisarzu duńskim, Hansie Chrystianie Andersenie i dwojgu ludziach z jego epoki: Johanie Ludwigu Heibergu, krytyku teatralnym, dyrektorze Teatru Królewskiego w Kopenhadze, w roczni smaku w sprawach kultury w wieku XIX w Danii oraz jego żonie, aktorce, legendzie duńskiej sceny, Johannie Luisie Heiberg.

Wszystkie te trzy postacie wzięte są z życia. Istniały, działały, zostały literacką spuścizną (Andersen i Heiberg) oraz pamiętniki (pani Heiberg).

Dwoje z tej trójki to — używając terminologii XIX-wiecznej — ludzie z nizin, tylko Heiberg reprezentuje klasę, rasę i kulturę od pokoleń.

Bajkopisarz Andersen patrzył w dzieciństwie z bliska na alkoholizm, prostytutkę i często doświadczal nędzę. Bardzo chciał się wybić, stać się członkiem wyrafinowanego świata koneserów kultury. Jego dramaty i poezje miały być windą do lepszych sfer i nie o sytość tu chodziło a o klasę właśnie. Te dramaty i poematy padały jeden po drugim, ich sztuczność odstręczała. Ulubieńcem dworów europejskich i człowiekiem co się zowie sławnym stał się poprzez to, co było w jego życiu marginesem. Baśnie mianowicie, które pisał językiem dzieciństwa, pozbawionym uczonych linejki, jednym i z gruntu plebejskim.

Tyle wiadomo o Andersenie każdemu, kto zechce dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Johanna Heiberg była córką żydowskiej przekupki i zbankrutowanego i rozpijanego stolarza, któremu zdarzało się często wspominać żonie jej obcoplemiennosc. Tańczyła na stole dla gości matki, widziała jak matkę poniżano. Ładnolutka

Glisty, którymi żywi się teatr

Teresa Krzemień



„...roślinki bagienne” — Krystyna Janda (pani Heiberg) i Zbigniew Zapasiewicz (Andersen) w spektaklu „Z życia glist”

dziewczynka dosyć przedko znalazła mecenasa, który zajmie się jej edukacją. Będzie się pięła do góry, uczyła wszystkiego, co pozwoli jej żyć w dostatku, szacunku i „lepszym świecie” kulturalnych ludzi. Kiedy poślubi Heiberga — ale i omegę ówczesnej duńskiej kultury — będzie to pierwsze zwycięstwo na drodze do pozycji damy. Przetrwaj w legendzie już jako dama w każdym calu, dama i wielka aktorka.

Fenomen Johanny Heiberg fascynował wielu współczesnych i potomnych, nierównie mniej zapewne niż casus Andersena, ale pani Heiberg była aktorka, jej sztuka skazana na ulotność, stąd więcej tu ele-

mentów legendy niż uczonych rozpraw.

Obojgu poświęca oddzielne rozdziały Jarosław Iwaszkiewicz w *Skicach do literatury skandynawskiej*, wyraźnie zafascynowany także ich drogą do sławy.

Per Olov Enquist napisał sztukę o cenie jaką przyszło zapłacić obojgu „pnącym się do góry”. Naczytawszy się Andersena i o Andersenie, pani Heiberg (kilkakrotnie wznawiane pamiętniki) i o pani Heiberg, Heiberga i o Heibergu napisał rzecz pełną odniesień szerszych i głębszych niżli prawdopodobne i realne powikłania psychologiczne pomiędzy trójką swoich bohaterów.

Kameralny dramat psychologiczny *Z życia glist* to okrutne studium spustoszeń, jakie czyni konieczność stosowania prawa mimikry, aneksji do rozważań o awansie cywilizacyjnym i kulturalnym, bodaj czy nie zawsze i wszędzie, a teźi do tematu odwiecznego: co to znaczy być sobą. Fakt, że wszystko to dotyczy aż geniusza i wielce utalentowanej aktorki tylko wyostyra problem Andersena powiedział kiedyś sobie i sobie podobnym — Enquist to wyszperał i podaje do wiadomości w posłowie do sztuki — „bagienne rośliny”.

Johanna Heiberg w pamiętnikach pisze o „glistach żyjących w tęsknocie do światła”. Enquist te glisty

potraktował jak najbardziej ukryte wyznaczenie i klucz do sztuki.

Z życia glist i roślin bagiennych? Zanim wydobędą się na światło?

Dopiero w teatrze okazuje się, że ci, którzy żyli „pośród glist” stanowią stuprocentowy materiał na pełnokrwiste postacie. Ze takimi „glistami” — kompleksami i marzeniami „roślinek bagiennych” w typie Andersena czy Johanny Heiberg teatr żywi się najposilniej. Ze to widza porusza i zmusza do zastanowienia. Choćby tylko nad tym, czym byłby człowiek bez „brudu życia”?

Spektakl w Teatrze Powszechnym ma już opinię znakomitego i bardzo „aktorskiego”. Dodajmy: w pełni zaśluzona.

Wyreżyserowany całkowicie „nie-dostrzegalnie” nie ujawnia żadnych szwów roboty. Jej największy trud dźwigają aktorzy: Krystyna Janda (pani Heiberg), Zbigniew Zapasiewicz (Hans Chrystian Andersen) i Franciszek Pieczka (Johan Heiberg). (Wiesława Mazurkiewicz gra trudną i na poly niemą rolę chorej psychicznie i przykutej do fotela osoby. Jej zadaniem jest być w sposób wyrazisty, co też wzorowo spełnia).

I w sztuce i w spektaklu zachowano klasyczną jedność czasu, miejsca i akcji. Miejsce — to wnętrze zamożnego domu Heibergów — kanapa, fortepian, lampa, stare meble. Czas — jeden wieczór. Akcja — wizyta Andersena u Heibergów, rozmowa z panią Heiberg, potem z obojgiem.

Przez cały czas obecna jest na scenie Łysa (Wiesława Mazurkiewicz) w fotelu — matka pani Heiberg? Ktoś z rodziny? W każdym razie ktoś z drugiego brzegu, pogrążony w swoim świecie, głuchy na bodźce teraźniejszości.

Teraźniejszość to stan uczuć trojga bohaterów, a także ich kondycja psychiczna.

U pani Heiberg — Jandy to wynosie „złodowacenie serca”, które przecież pęka pod naporem wspomnień.

U jej męża (Pieczka) to bezradna, samotna duma człowieka, który czuje się już niepotrzebny, i nie rozumie co się stało. Jak Pigmalion ukształtował żonę — Galateę, zrobił z niej wielkość i nie wie: co dalej?

U Andersena (Zapasiewicz) to rozbrajająca naiwność, prostolinijność, wstyd za własne nieustanne życiowe gafy a wszystko pokryte warstewką dziecięcego zachwycenia światem i pokładami poezji. W środku, głęboko — tragiczne poczucie izolacji, znajdowania się poza burtą, nie tam gdzie się chce, istnienia „nie tak” jak się chce...

By wszystko to nie utonęło w banale — pani Heiberg Jandy kocha na swój sposób męża i podziwia Andersena — brata w „bagiennosci”. Co nie przeszkadza, że obaj drażnią ją niewymownie. Pierwszy — wyniosłością, która już jest pusta, bez wartości dla niej, bowiem pani Heiberg wyczerpała już wszystko, męża niczego nie może jej dać. Drugi — niezręczną a szczerą potrzebą wiecznej akceptacji, utwierdzenia się w swojej wartości, niepewnością i

naivnością. Chciałaby widzieć w Andersenie człowieka silnego i świadomego swoich możliwości, a musi wysłuchiwać jeremiad o tym, jak to wypadła mu sztuczna szczęka podczas audycji u króla. Wścieka się więc i zwija ze wstydu za gapowatość i kruchość Andersena, za jego niewyrobienie towarzyskie, które bierze się z nadmiernej ambicji bycia „wyrobionym” najdoskonalej jak można. Ona, pani Heiberg, wie gdzie jest miara, ją już stać na naturalność, ją wytresowano lepiej. Wścieka się więc, bo ta tresura wydaje się jej być okupiona drożej niż otwarta prostolinijność Andersena. Wścieka się, ale rozumie. Tylko Andersen rozumie naprawdę. Może po swojemu kocha?

Krystyna Janda potrafi w jednym geście zasygnalizować tę złość „lepiej wytresowanej” i współczucie pełne solidarności „jednakowo urodzonej”. Jest imponująca „lodowata”, o czym mówi się w tekście i raz po raz kruszy ten лёд bądź to impetem swego gniewu, bądź zwykłym bańskim poczuciem zmanowanego życia. Silna i nieszczęśliwa, wie, że jedno i drugie wzięła z dzieciństwa, z „tamtej strony” — z życia glist. Janda gra tutaj gościnnie. Po obejrzeniu jej w tym spektaklu wydaje się wręcz niemożliwe, by ktokolwiek inny mógł grać tę rolę, tak dalece w przekonaniu widza odpowiada ona predyspozycjom psychicznym aktorki.

Franciszek Pieczka gra tu godność, nieco śmieszna i stracająca, godność w stylu ubiegłowiecznych estetów, którzy nigdy nie przebywali „wśród glist” — to pewne.

Rola Zbigniewa Zapasiewicza przejdzie do historii powojennych ról charakterystycznych. Jeżeli napisze, że jest to „nowy”, nigdy dotąd takim nie widziany, Zapasiewicz, będzie to oczywiście, prawda, ale niczego nie objaśni. Cóż to za kreacja! Zbudowana tyleż z „zewnątrzności” — gesty, wymyślone tiki nerwowca, ruchy sztywne, postawa nienaturalna, mimika na pół-wyrazistości, jakby wstydział się każdego uczucia malującego się na twarzy — co i z psychologii. Głęboko przekonująca, prawdziwa w każdym calu (co przy karykaturalnych wręcz charakterystycznych zewnętrznosciach jest nie byle trudnością), wzruszająca i tragiczna w wyrazie. I na przekór wszystkim — jednocześnie — humanistyczna, ciepła, nie „czarna”, raczej słoneczna. Pełna humoru, ludzka w wymiarze — i tragiczna. Wszystko naraz, wszystko gesty, przemieszane. Jego Andersen to człowiek z licznymi skazami, w tym i skazą geniuszu, często irytujący, pocieszny, taki, na którego — jak dziś powiadamy — „nie ma siły”.

I jedyny z całej trójki c z ł o wiek pełny. Czemu mniej spustoszony niż małżeństwo Heibergów?

Radzę poszukać odpowiedzi na przedstawieniu Zygmunta Hübnera w Powszechnym.

Teatr Powszechny — Per Olov Enquist *Z życia glist*. Przekład Andrzej Krajewski-Bola. Reżyseria Zygmunt Hübner, scenografia Barbara Hancik. Premiera maj 1984.